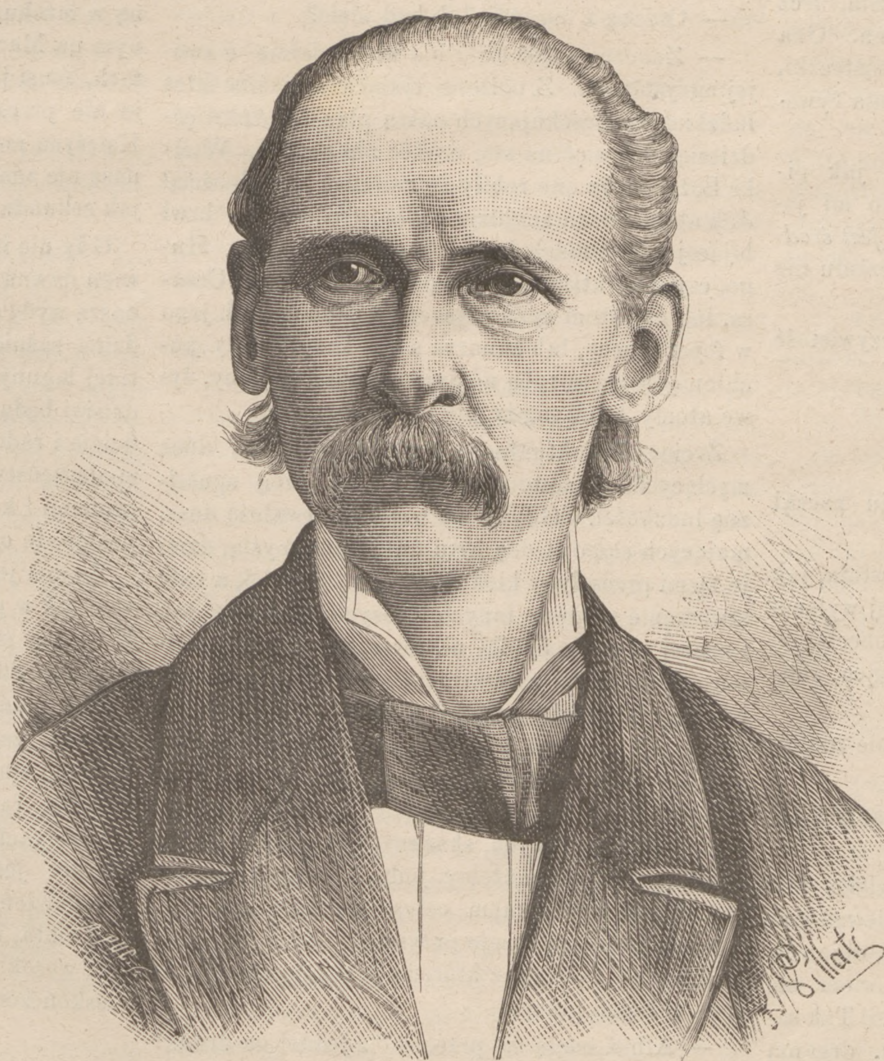
№ 4. Warszawa, dnia 16 (28) Stycznia 1888 roku.



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.



ANTONI PIETKIEWICZ (ADAM PŁUG).

(Patrz artykuł w N-rze 1.)

MIŁOŚĆ WŚRÓD GWIAZD.

POGADANKA PSYCHOLOGICZNA

Kamila Flammariona.

(Dalszy ciąg.)

Jedność wszechświata zależy od siły niewidzialnej i nieujętej, a niematerjalnej, która wprowadza w ruch wszystkie atomy. Gdyby choć jeden atom przestał być poruszony za pomocą tej siły, świat musiałby się zatrzymać. Ziemia obraca się koło słońca, miliony miliardów słońc które zaludniają wszechświat, biegną prędzej niźli atomy pyłu, gwiazdy na pozór nieruchome, to są słońca rzucane w przestwór z szybkością dziesięciu, dwudziestu, trzydziestu milionów kilometrów na dzień. A wszystko śpieszy do nieznanego celu, słońca, planety, ziemie, satelity, komety, etc., punkt oparcia, środek ciężkości poszukiwany, przez badaczów, ucieka w miarę jak go ścigają, a w rzeczywistości nigdzie go nie ma. Atomy ciał poruszają się stosunkowo tak prędko, jak gwiazdy na niebie. Ruch panuje wszędzie i wszystko tworzy.

Sam nawet atom nie jest materyą bezwładną, lecz środkowym punktem siły.

Główną siłę istoty ludzkiej nie stanowi materya, ani komórki tkanek, ani nawet cudowny związek węgla z wodorodem, kwasorodem i azotem, lecz siła duchowa niewidzialna i niemateryalna. Ona grupuje i trzyma w całości drobne cząsteczki, z których się składa przecudowna harmonia żywego ciała.

Niechaj ciało zginie odrazu po śmierci, jak ginie i odnawia się ciągle za życia, wszystko mi jedno. Dusza pozostaje. *Atom mózgowy jest środkowym punktem siły.* On również zniszczeniu nie podlega.

To co widzimy jest zwodnicze. Rzeczywistość ukryta przed naszym wzrokiem.

* * *

Przerwał i wielkiemi krokami po pokoju zaczął chodzić.

Młoda dziewczyna słuchała go jak apostoła, jak mistrza, a chociaż mówił do niej i dla niej wyłącznie, zdawało się że nie spostrzega jej obecności. Gdy skończył, cichutka przedtem i milcząca, zbliżywszy się do niego, rękę mu podała.

— Oh! — rzekła z przejęciem, jeżeli nie zdobyłeś prawdy musisz ją zdobyć.

Potem ożywiając się coraz bardziej, zaznaczyła zbytnią ostrożność Jerzego.

— Sądzisz — dodała — że dla człowieka jest niepodobieństwem prawdę wynaleźć, ponieważ mamy tylko pięć zmysłów, a znaczna część objawów przyrody obcą jest nam zupełnie, albowiem nie wiemy jaką drogą dojść do ich poznania. Tak samo jak bez nerwu akustycznego słuchu, drgania i ruchy niewidzialne, najzwyczajniejsze objawy siły przechodzą bez śladu nie poruszywszy stron naszego organizmu i pozostaną nam obce. Zgadzam się nawet i wierzę razem z tobą, że mieszkańcy innych światów zaszli dalej niż my. Lecz zdaje mi się, że choć mieszkaniec ziemi, ty prawdę znalazłeś.

— Kochana moja — odpowiedział Spero, siadając obok dziewczyny, na wielkiej sofie w bibliotece — być może, iż naszej ziemskiej harfie brakuje strun, a według wszelkiego prawdopodobieństwa mieszkaniec Syryusza śmiałby się z moich trudów. Drobny kawałek namagnesowanego żelaza nie będzie szukał bieguna jak Leibnitz albo Newton, jaskółka lepiej niż Krzysztof Kolumb i Magellan zna wszelkie zboczenia szerokości jeograficznej. Co mówiłem przed chwilą? Że pozory są złudne a duch powinien przez materyę dostrzedz wszystko, czego nie ujrzę wzrokiem. To fakt. Materya nie jest tem, czem się wydaje, a człowiek idący za postępem nauk ścisłych, materyalistą zwać się nie powinien.

— A więc — pochwyciła młoda panna — jeżeli weźmiemy na uwagę zasadnicze dowodzenia chemii, atom mózgowy jest nieśmiertelny jak i wszystkie inne. Różniłby się tylko pewnym stopniem wyższości, bo na nim zawisła dusza. Miałżeby on poczucie bytu, samowiedzę istnienia? Byłażby dusza czemś podobnem do elektryczności. Widziałam raz, jak piorun wpadłszy do salonu, pogasił wszystkie lampy. Skoro je zapalili i cóż się okazało? Warstwa złota zdobiąca zegar ścienny przeszła na srebrny cyzelowany żyrandol i osiadła na nim w kilku miejscach. To bardzo subtelna siła!

— O, dajmy pokój porównaniom, dalekie one od rzeczywistości. Że dusza istnieje jako siła, to niewątpliwe. Dlaczegóżby nie można przypuszczać że w połączeniu z atomem mózgowym stanowi jedną całość? Wszak pojmujemy, że nie umiera razem z ciałem.

— Cóż się z nią staje? dokąd idzie?

— Znaczna część dusz nie wie zupełnie o swojej egzystencyi. Z półtora tysiąca milionów istot ludzkich zamieszkujących naszą planetę dziewięćdziesiąt dziewięć na sto, myśléć nie potrafi. Wielki Boże! cóżby one robiły ze swą nieśmiertelnością! Jak atom żelaza znajdzie się bezwiednie we krwi bijącej w skroniach Lamartine'a lub Wiktora Hugo, czy też utkwi na czas pewien w mieczu Cezara, lub czy atom gazu błyszczy w płomieniach jego w foyer Opery, lub zanurza się w kropli wody pochłoniętej przez rybę na dnie morskiej głębiny, żywe atomy, które nigdy nie myślą, drzemią.

Życie intellektualne pozostaje udziałem dusz myślących. One to przechowują i bogacą spuściznę ludzkości. Gdyby nie wieczna trwałość dusz, mających samowiedzę bytu i żyjących myślą, dzieje ziemi przeszłyby kiedyś w sferę nicości, a całe stworzenie zarówno innych lepszych światów, jak i naszej planety, byłoby niedorzecznością nędzniejszą i głupszą niż najmarniejszy robak ziemski. On ma przynajmniej racyę bytu, a świat by jej nie miał. Czy możesz sobie wyobrazić, że te miliardy światów mają ustąpić miejsca innym, powoławszy do życia moc chybionych nadziei, znikomych wielkości, istot myślących, skazanych na zagładę? Nędzni i marni, nie możemy jednak przypuścić, że nicość jest ostatecznym celem ciągłego postępu, o jakim świadczą dzieje przyrody. Ztąd wniosek, że dusze są ziarnem z którego powstają społeczeństwa różnych planet.

— Alboż mogą się przenosić z jednej na drugą?

— Najtrudniej pojąć to, o czem nie wiemy, najprostsze wszystko co już znane. Któż się dziwi, że telegraf elektryczny na poczekaniu przenosi myśli ludzkie przez lądy i morza? Komuż wydaje się niepodobnem, że siła księżyca dźwigając wody oceanu, sprawia przypływ i odpływ, że światło przechodzi z jednej gwiazdy na drugą z szybkością stu tysięcy kilometrów na sekundę?

Myśliciele i przyrodoznawcy mogą ocenić wielkość tych zjawisk, tłum nie dziwi się niczemu. Gdyby świeży jaki wynalazek podał nam jutro sposób porozumienia się z mieszkańcami Marsa, dla trzech czwartych ogółu, byłby to fakt najzwyczajniejszy, któremu już pojutrze niktby się nie dziwił. Tak, dusze mogą się przeprowadzać z jednego świata na drugi, nie zawsze jednak i nie wszędzie, a zwłaszcza nie wszystkie: są prawa i warunki. Siłą woli podnoszę rękę, rzucam kamień przy pomocy muskułów, jeżeli wezmę ciężar dwudziestu kilos, podnieść go zdołam, gdybym zechciał wziąć tysiąc już nie podźwignę. Bywają umysły do niczego niezdatne, drugie znowu obdarzone są zdolnościami bez granic.

W szóstym roku życia, Mozart imponował słuchaczom potęgą geniuszu, w ósmym wydał dwie pierwsze sonaty, podczas gdy najsławniejszy autor dramatyczny Szekspir, dopiero mając lat trzydzieści, napisał pierwsze dzieło godne mistrza. Nie można sądzić iż dusza należy do świata nadprzyrodzonego. Wszystko znajduje się w przyrodzie i w niej się mieści. Nie dawniej jak przed stoma tysiącami lat, ludzkość wyszła z poczwarki zwierzęcej, przez całe wieki nie było na ziemi ani jednej myśli, zdolnej ocenić wielkość natury, ani jednego rozumnego spojrzenia. Postęp doskonalił zwolna dusze roślin i zwierząt; człowiek jest bardzo świeżym mieszkańcem planety. Natura ciągle się rozwija, świat powstaje ciągle, postęp jest najwyższem prawem.

— Nie wsystkie światy — dodał po chwili — są zamieszkane. Jednem świeci jutrzenka, drugie toną w mroku. Lecz w naszym systemie słonecznym na Marsie, Venus, Saturnie, a może i satelitach, musi już kwitnąć życie, Jowisz, o ile się zdaje nie przeszedł jeszcze epoki pierwotnej, a na Księżycu może już nie ma ludzkich istot. Wiek nasz nie znaczy więcej w dziejach wszechświata, jak sekunda w nieskończoności.

Gdy nie istniała jeszcze ziemia, zawsze od dawien dawna były już zaludnione światy, planeta nasza wyda ostatnie tchnienie, ostatnia ludzka rodzina zaśnie snem wiecznym nad brzegiem ostatniej laguny zamarzniętego oceanu, a zawsze jak dzisiaj będą ranki i wieczory, wiosny i kwiecie, nadzieje i radości. Inne słońca, inne ziemie, inne społeczeństwa. Przestrzeń bez kresu zaludniona grobami i kołyskami. Ale życie, myśl i wieczny postęp, to ostateczny cel stworzenia.

Ziemia jest satelitem gwiazdy. Obecnie zarówno jak w przyszłości myśmy mieszkańcy nieba. Z wiedzą czyli bezwiednie, żyjemy na prawdę pośród gwiazd.

Tak rozmawiała młoda para o ważnych problematach, zajmujących ją żywo. Doszedłszy do bardziej stanowczego wniosku uczuwali oboje niezmierną radość i mogli już spokojnie gwarzyć o kwestyach powszedniego życia. Były to dwa umysły jednakowo spragnione wiedzy, pewne w młodzieńczem uniesieniu, iż mogą odosobnić się od świata, nad wrażeniami zapanować i wzbić się tam wysoko, na gwiazdę prawdy, która w mroku nieskończoności nad ich głowami jaśnieje.

(*Dalszy ciąg nastąpi*)

NIE UTONĄŁ.

NOWELLA

NAPISAŁA

Zbigniewa Zmorska.

(Dalszy ciąg.)

Pierwszy zachodzi powóz spuszczony, ciągniony przez parę pysznych kasztanowatych anglików, wypieszczonych, utresowanych wybornie, któremi powozi młodszy stajenny, Antoni sprawujący mniejwięcej urząd forysia. Tuż za nim, nadjeżdża lekki faeton, zaprzężony w siwe, młode tabuny, wzięte niedawno ze stada, pełne ognia, fantazyi i młodocianych wybryków, któremi powozi sam Jan stangret.

Następuje chwila zatargów, ogólnego zamieszania, spowodowana ceremoniami przy wsiadaniu do pojazdu.

— Damy starsze, proszę do kocza! — woła wesoło hrabia gospodarz. — Konie tam spokojne i pewne! Ja siadam do faetonu i zabieram tego z młodzieży, kto ma ochotę nakręcić karku i użyć jazdy nieco urozmaiconej!

Następuje długa chwila ogólnych namysłów, w czasie której, siwe tabuny niecierpliwią się i miotają tak strasznie, że wpadają dyszlem na stojący przed nim ekwipaż, zagrażając nim głowie wsiadającej właśnie do powozu galicyjskiej cioci; stangret Jan zaś, stojąc prawie w faetonie, zaledwie zdoła hamować ich niesforną fantazyą

— Panie, nie marudźcie, na miłość Boga! albo nieodpowiadam za siwosze! — woła ponownie stary hrabia.

Ostatnia ta odezwa trafia do przekonania kobiet, które sadowią się wreszcie w ten sposób że dwie hrabiny, panna rezydentka, panna Antonina i młodsza hrabianka Wanda, zajmują powóz pierwszy. Hrabia gospodarz, emancypowana panna Marya i Anna, pomieszczają się w faetonie. Endymion siada ostatni. Czekał gdzie wsiądzie kuzynka Anna i decyduje się na faeton, dopiero w chwili, gdy ona stawia już nóżkę na jego stopniu. Widząc że hrabia z starszą jego siostrą zajęli pierwsze miejsce w głębi pojazdu, cieszy się z tego szczerze i wsadzając starsze panie do powozu, obiecuje sobie kilka bardzo miłych chwil, na przedniem siedzeniu. Spotyka go przecież wielki zawód. W chwili gdy zamyka ostatecznie drzwiczki kocza, w które jak na złość zatrzaskuje się po raz dziesiąty granatowa sukienka młodszej jego siostrzyczki, hrabianka Anna, siedzi już na koźle faetonu, obok stangreta Jana, pozostawiając całe przednie siedzenie ku wyłącznej jego wygodzie.

Jest ona wielką amatorką koni, lubi patrzeć na nie z blizka i miejsce na koźle jest w czasie wszystkich przejażdżek uprzywilejowanym jej tronem od ósmego roku życia dziewczynki.

Hrabia Endymion nie przeczuł tego naturalnie i żałuje najmocniej iż nieofiarował się powozić tabunami, tem więcej, że posiada tę zajmującą sztukę w wysokim stopniu. Ale jest już zapóźno. Zdobywszy się na rezygnacyą, piękny młodzieniec umieszcza się na swem samotnem miejscu, zkąd zamiast uroczej, oryginalnej twarzyczki, pociągającej go jak żadna w życiu, może zachwycać się ad libitum, niezbyt już świeżym owalem swej siostry i ogorzałą poważną twarzą siedzącego naprzeciw hrabiego.

Nareszcie, wszyscy są już pomieszczeni.

Pierwszy powóz rusza zwolna z przed ganku, lekkim, eleganckim kłusem, spuszczając się mocno pochyłą drogą ku wjazdowej bramie. Drugi rusza zaraz za nim tak energicznie, że wszyscy siedzący w nim pasażerowie wykonują silny ruch wsteczny; Endymion z wązkiego siedzenia, upada nosem na kolana hrabiego i nieodstępne album panny Maryi zsuwa się z jej kolan, z wszystkiemi krajobrazami Europy do podolskiej kałuży, pozostałej na drodze po onegdajszej ulewie; dyszel zaś faetonu niespodziewanie po raz drugi znajduje się pomiędzy głowami dwóch hrabin, wprost naprzeciw błękitnych okularów siedzącej na przodzie panny rezydentki, która wita intruza przeraźliwie sopranowym okrzykiem.

W obydwóch powozach robi się zamęt niedoopisania. Panie z kocza wołają na Jana aby trzymał konie! Zarzucają mu nawet, że nie umie powozić! Hrabia przekonywa stanowczo, że nie Jan winien lecz panie, długiem marudzeniem doprowadzając tabuny do ostatecznej niecierpliwości!

Służba wyciąga z błota album panny Maryi. Panna Anna śmieje się głośno tak szczerze że stangret Jan, choć sfukany dobrze przez starsze damy i zaledwie zdolny utrzymać konie, uśmiecha się także wcale niefrasobliwie. W rezultacie wszystkiego, hrabia każe Janowi wyminąć powóz i jechać przodem.

Faeton rusza z przed pałacu pędem, tocząc się szybko z góry szeroką drogą wiodącą w dół w stronę sioła.

Puszczone wolniej siwosze, pokazują w początku wielką chęć do swawoli, probują nawet rozbiegać się na piękne. Jan przecież, pomimo uczynionego mu przed chwilą zarzutu, okazuje tu całą zdolność w swym fachu i pomimo stromego stoku góry, przydającej kołom wartkości a lekkości tabunom, umie wkrótce zapanować nad nimi, ujarzmić, wprowadzając w spokojnego, choć ognistego kłusa.

Przejażdżka rozpoczęta dość awanturniczo, poczyna zwolna przybierać iście spacerowy charakter. Słońce świeci cudownie, powietrze mile rozgrzane, faluje lekko ponad szerokiemi obszarami świecącemi złocistemi łanami, niedawno skoszonych ściernisk, długie pasma pajęczyny czepiają się głów jadących, widniejące z dala lasy, przedstawiają cudowną grę barw, pożółkłych i zczerwieniałych liści, przesłoniętą błękitnawym, mglistym kolorytem jesieni.

Pojazdy toczą się szybko jeden za drugim po pochyłej drodze, wjeżdżając coraz niżej w głąb' jaru, nad którego przepaścistemi brzegami z stron obu, rozciąga się wesołe, malownicze sioło.

Na siole pełno jest w tej chwili ruchu i gwaru. Przed chatami, mołodyce i dziewczęta, międlą lny i konopie, stare babki z zatkniętą za pas kądzielą, pasą owce, czepiając się po urwistych brzegach drogi, gromadki bosonogiej dziatwy, wygrzewają się na dobroczynnem słońcu z szczodrobliwością magnacką oblewającem falą gorących blasków ten swojski, wesoły obrazek.

Za siołem i jarem, rozciąga się las gęsty, liściasty, podszyty gęściej jeszcze leszczyną i głogiem. Pod lasem roztacza się okolica prześliczna. Pozłocista barwa żółkniejących liści, zlewa się w poetyczną harmonię z żywą zielenią skoszonych po potrawach smugów łącznych, wrzynających się malowniczemi zakrętami w tajemniczą głąb' zarośli. Błoga, kojąca cisza, zalega zacienione te dąbrowy, Powietrze zdaje się przepełnione wonnym oddechem zadumanej w mgle jesiennej kniei. Spokój wpółsennej przyrody, przygotowującej się zwolna do zimowego letargu, udziela się ludzkim duszom w magnetycznie sympatyczny sposób.

Urokowi temu ulegają potrochu wszyscy najwięcej przecież oddziałuje on na hrabiego gospodarza, który rozkazuje Janowi zwolnić nieco koniom i jechać przez las stępo.

— Cudneż to to nasze Podole! cudne i kochane, Zestarzejesz się, posiwiejesz, a nie napatrzysz mu się do syta — mówi z rozkoszą wodząc okiem dokoła siebie.

— Cudne i urocze! — potwierdza Endymion z zapałem. — Nie wiem jakim sposobem nie zabłądziłem dotąd nigdy w tę zaczarowaną krainę skazek i dumek, lecz to pewna, iż uczyniła ona na mnie wrażenie nieznane i do końca życia zakątek ten ziemi, będzie miał dla mnie najwięcej wartości z całego świata!

Stary hrabia uśmiecha się zadowolony.

— To ślicznie! Cieszy mnie to z wielu względów, najwięcej zaś z tego, iż jeśli jest tak istotnie, nietrudno nam przyjdzie zatrzymać cię dłużej pomiędzy sobą. Czy tak? Miło mi będzie usłyszeć, że się nie mylę?

— Z całego serca! To jest... nie odpowiadam tu za wolę całej rodziny, lecz co do mej osoby, to jeśli tylko wuj pozwolisz, pozostawię ją tutaj z ochotą na całą wieczność! Muszę nawet zabawić tu dłużej niż myślałem... powinienem... zrobiwszy z kuzynką Anną pewien układ, do którego wykonania potrzeba mi trochę czasu.

Ostatnie słowa młody panicz wymawia nieco głośniej, pół żartem, pół seryo, obracając się w stronę czarnookiej dziewczynki, siedzącej na koźle w ten sposób, że widzi tylko jej utoczoną, pokrytą wijącymi się kosmykami ciemnych włosów szyjkę, zachwycające uszko różowe i część okrągłego podbródka, puszystego brzoskwiniową barwą młodości.

— Cóżto za układ taki, na którym i my starzy, możemy znaleźć dla siebie pewne korzyści? — pyta hrabia wesoło.

— Nie mogę wydać z tego siebie ani Anny.

— Owszem, możesz to wiedzieć tateczku! — przerywa żywo dziewczyna. — Oświadczyłam Endymionowi, że nie zakocham się w nim nigdy, on zaś dał mi do zrozumienia, iż potrafi zmusić mnie do tego.

Hrabia uważa najmłodszą swą córkę jeszcze prawie za dziecko, nie widzi przytem nic złego w tym układzie.

— A to zajmujące! — woła śmiejąc się serdecznie.

— Pozwalasz wuju?—pyta młody człowiek gorąco patrząc mu w oczy.

— Róbcie sobie co chcecie, dzieciaki! Nie byłbym przeciwnym, gdyby się seryo stało po twej woli, ale się nie oświadczam za twą osobą. Próbuj szczęścia, mój chłopcze! a ty Anusiu, broń swego serca jak umiesz.

— Obronię je też z pewnością! — odpowiada panna rezolutnie. — Nie zdaje mi się, abym się kwalifikowała na brankę Jasyru i byłby zuchem ten, ktoby mnie wziął sobie bez mej wo...

Urywa nagle, spostrzegłszy utkwione w sobie poważne, przenikliwe spojrzenie, najbliższego swego sąsiada.

Stangret Jan patrzy na nią szaremi, myślącemi oczami, badawczo i dziwnie rozumnie. Strasznie! zanadto rozumnie, jak na prostego człowieka! Dziewczynka myśli to sobie z wielkiem oburzeniem i spojrzenie to zawstydza ją mocno, sama nie wie dlaczego?

Usuwa się, wygina w tył i oparłszy plecami o żelazny pręt kozła, wycofuje w ten sposób z pod tego spojrzenia.

W młodziutkiej piersi, pod popielatym stanikiem, obok wielkiej naiwności uczuć niemal dziecięcych, bije przecież serduszko szalenie dumne, które zapala się w tej chwili gwałtownym gniewem.

— Jak on śmie! jak poważył się spojrzeć tak na nią, na swą panią! — powtarza sobie w myśli, z ściągniętemi brwiami, przekładając parasolik jak mur chiński, pomiędzy siebie i stangreta.

Oprócz silnego rozdrażnienia, panienka czuje zarazem głębokie niezadowolenie z samej siebie. Z goryczą przyznaje sobie, że nie umie widocznie zachować powagi potrzebnej nieodzownie w obec służby. Nie powinna też zwracać poprostu uwagi na spojrzenia stajennych, których gdy zmuszeni są obok nas się znajdować, najlepiej uważać za niebyłych.

— Tak to — rozmyśla dalej zachmurzona, niestarając się nawet tłomaczyć wobec ciężkiego wyrzutu czyniącego jej sumienia. — Wszystko złe z pustoty! Boże mój! czy też ja kiedy wyjdę na poważną osobę? Zawiele wczoraj rozmawiałyśmy o tym człowieku, dlatego dzisiaj zawadza mi jego osoba. Być też bardzo może, że on spostrzegł obserwacye nasze przez szybę i to właśnie ośmieliło go do czynienia tegoż samego nad moją osobą. Nic łatwiejszego, jak spoufalić tę klasę, nieumiejącą siebie trzymać się w przynależnych granicach.

Zakończywszy tym moralnym sensem cierpkie swe rozmyślania, panna Anna prostując się wyniośle, postanawia nie zwracać na swego woźnicę najmniejszej uwagi.

Przez kilka też następnych minut, siedzi na koźle poważna, sztywna, milcząca, w czasie której to krótkiej chwili, wygląda istotnie, na dorosłą, osobę. Trwa to przecież niestety, bardzo niedługo!.. Wrodzona wesołość i ruchliwość odzywa się w niej wkrótce, biorąc górę nad najrozsądniejszem rozumowaniem.

Dziewczynka porusza się i poczynając nucić wesołą piosenkę, wysuwa z obronnej swej pozycyi. Nadomiar biedy, jednemu z siwoszy przychodzi właśnie fantazya płoszyć się przed jakimś krzywym, przydrożnym krzakiem i to pochłania odrazu całą jej uwagę, łamiąc najpiękniejsze postanowienia.

— Patrz-no, Janie! — woła żywo. — Pilnuj go! Nie pozwól wymijać tego krzaka, bo się znarowi i będzie potem zawsze w bok uderzał!

Jan uśmiecha się łagodnie, starając wykonać rozkaz swej pani.

— Kieruj prosto na przedmiot, którego się obawia! — Komenderuje urocza amazonka, patrząc zaiskrzonemi oczami na walkę koni z człowiekiem.

Po chwili zapasów, Jan zwycięża. Siwosze drżąc i chrapiąc, przechodzą około niepokojącego je drzewa.

Panna Anna jest zadowoloną. Przechylając się w tył do siedzących w faetonie, rzuca ojcu po francuzku kilka pochlebnych uwag, o nowym woźnicy. W tej chwili przecież zastanawia ją bardzo uśmiech zarysowujący się zlekka na ustach stangreta.

— Czego on się śmieje? Wygląda zupełnie, jakby rozumiał moje słowa? — myśli sobie zdumiona i z właściwą sobie żywością, prostując się nagle, poczyna z po za koronki parasolika przyglądać się uważnie podejrzanemu.

Ale Jan nie śmieje się już teraz. Patrzy przed siebie, na konie i zdaje się, że po za niemi nie obchodzi go nic w świecie.

Po krótkiem, natężonem śledztwie, panienka uznaje, że podejrzenia jej są bezpodstawowe. Uśmiech biednego chłopca był zapewne niewinnem przypomnieniem stajennego jakiegoś żartu i całe jej posądzenie jest poprostu bez sensu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Wystawa konkursowa.

(Dokończenie.)

Z dzieł odznaczonych listami pochwalnemi, najwięcej przyciąga ciekawych:

Kuszenie św. Antoniego, przez p. Lucyana Wędrychowskiego z Krakowa. Zarówno temat obrazu, jak wykonanie jego i sposób przeprowadzenia myśli głównej, uderzają i wobec dzisiejszego rozwoju malarstwa przeważnie historycznego i rodzajowego, zaciekawiają widza. Czasy wiary głębokiej a pełnej prostoty, czasy ascetyzmu i pustelników minęły oddawna; rzadko też wśród współczesnych galeryi spotykamy płótna treści religijnej a jeżeli odnajdą się niekiedy, to sztywne draperye, szablonowe aniołki i układ z którego maniera tchnie zdaleka, każą żałować, iż autor nie obliczywszy się z własnemi siłami, utworzył rzecz niezgodną zarówno z duchem czasu, jak jego osobistem usposobieniem.

Pan Wędrychowski potrafił szkopułu tego uniknąć, nadając pracy swej charakter prędzej rodzajowy niż religijny. W głębi pieczary widzimy starca, którego postać siedząca na ziemi, zajmuje pierwsze miejsce obrazu i główną jego treść stanowi. Głowa pod ciemnym ukryta kapturem, o rysach ascetycznie wychudłych i szlachetnym pociągających wyrazem, stanowi typ nader piękny i bardzo starannie malowany. Przedłużone policzki, siwa do pasa spadająca broda, wyraz pokory i pobożności, wyraz smutku i rezygnacyi, wszystko to zdaje się wskazywać jednego z tych bogobojnych średniowiecznych pustelników, którzy martwiąc ciało, ducha tylko ku niebu wznosili. Złudzenie to jednak pierzcha, gdy spojrzymy w głąb' oczu świętego.

Płomień palący się w nich wskazuje jasno, iż walka jeszcze nieskończona, że na dnie duszy tej wrą i buntują się mniej święte pragnienia. I w rzeczy samej, uplastyczniając je, artysta umieścił wysoko, po nad dymem dogorywającego ogniska, główkę niewieścią, jakby lekką mgłą przysłoniętą. Ta piękna, młodziutka główka, ma być uosobieniem pokusy; szkoda tylko, iż wśród ciemnego tła obrazu, widz z trudnością dojrzeć ją może; zmniejsza to wrażenie, lecz równocześnie uspokaja co do losu świętego. Pokusa tak niewyraźna, tak wysoko umieszczona i dosięgnąć się niedająca, nie zamąci mu pewno na długo spokoju, tembardziej że co prawda obrócony tyłem dojrzeć jej nawet nie może, chyba... oczami duszy, a te znów nie są niebezpieczne. Gdyby pokusa stanęła obok niego, zadanie trudniejszem byłoby, równocześnie jednak nie pozwoliłaby artyście utrzymać w swej imponujących rozmiarów pracy, tego ponurego, ciemnego kolorytu, który przy umiejętnem i doskonałem rozłożeniu światła, nadaje jej właśnie charakter poważnego ascetyzmu.

Pierwszy list pochwalny przypadł panu Samuelowi Hirszenbergowi z Monachium za *Jeszyboth* obraz wielkich również rozmiarów, przedstawiający scenę religijną, o ile sądzić można, z życia żydów. Jakkolwiek zaś treść nie dosyć się jasno sama tłomaczy, całość układu i pojedyńcze postacie młodych synów Izraela, blade, marzycielskie, czy rozmodlone, realizmem swym i poprawnym rysunkiem, zdają się w panu Hirszenbergu nową sztuce przysparzać siłę.

Trzeciem wreszcie odznaczonem dziełem, jest: *Potop* p. Władysława Ciesielskiego z Paryża, krajobraz, przedstawiający dąb zwany *Potopem* w lesie pod Fontainebleau. Rozłożyste konary wiekowego olbrzyma, odbijające na tle zieleni, zajmują pierwszy plan obrazu, którego dobra perspektywa główną stanowi zaletę.

W dziedzinie rzeźby wreszcie, tak rzadko przynoszącej nam rzeczy wybitne, otrzymał pierwszą i jedyną nagrodę pan Stanisław Lewandowski z Krakowa, za figurę p. t. *Słowianin zrywający pęta.* Dzieło to niepospolite czyniące wrażenie. Mężczyzna pełen siły, o rysach wybitnie słowiańskich, zrywa więzy krępujące mu ręce. Nic więcej. Artysta jednak w wyraz jego w ruch naprężonych ramion i postać całą tyle wlał siły, iż pęta prysną natychmiast, choć harmonia w doskonale modelowanych członkach mocującego się, niczem naruszoną nie została. Od długich jego włosów i warg wydatnych, małym wąsem pokrytych, aż do nogi lekko wysuniętej naprzód, wszystko tu jest wytwornem upostaciowaniem siły świadomej siebie i budzącej się do życia.

Patrząc też na trzy prześliczne posągi, zdobiące w tej chwili wystawę, na *Lirnika*, który śpiewając chwałę przeszłości, w przyszłość zdaje się wiary dodawać: dalej na pysznego *Gladyatora*, wołającego: *Ave Caesar morituri te salutant* i wreszcie na *Słowianina zrywającego pęta*, podnosimy mimowoli głowę. Trzy te postacie bowiem pięknem swem estetycznem i myślą przewodnią, żywe na każdym muszą wywrzeć wrażenie.

An. Krz.

KATARZYNA LEVALLIER.

PRZEZ

Edwarda Delpit,

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

Wie pani jaką radę daje mi pan Levallier? — zawołał Lucyan. — Każe mi się żenić.

— Wcale dowcipna rada — szepnęła do siebie pani Maleyra.

— I mnież to ośmielił się powiedzieć co podobnego — ciągnął dalej Lucyan — mnie, któremu jedna miłość wystarczy na całe życie. Dla mnie nie ma już szczęścia ani spokoju na świecie!

— Tak, tak — szepnęła znów pani Maleyra — zapomniałeś widać o Włoszkach i Indyankach.

— Ja nie żądam i nie szukam żadnej pociechy — mówił artysta. — Pan Levallier narzuca mi swoją wolę, to mnie oburza do najwyższego stopnia, każe mi się żenić lub oddalić bezwłocznie.

— No, no, nie sądziłam, że Maksym potrafi się zdobyć na taką energię — powiedziała sobie w duszy pani Maleyra.

— Mamże wyrzec się nawet widoku Katarzyny! Nie, stokroć nie—mówił z uniesieniem Lucyan. — Będę ją widywał, ale ukradkiem, potajemnie, kiedy mi otwarcie wzbraniają tego. Nie chcę utracić jej powtórnie, szaleństwem byłoby zgodzić się na coś podobnego.

— Jeśli pan kochasz prawdziwie, nie cofniesz się przed ofiarą — odezwała się stłumionym głosem Genowefa.

— O! pani! ja ją nietylko kocham, ale czczę i uwielbiam jak świętą...

— A jednak nie chcesz się pan poświęcić dla jej szczęścia, dla jej spokoju!... Obowiązkiem pana jest oddalić się ztąd jak najprędzej. Czyżbyś pan nie miał odwagi? Ależ pomyśl, że obecność twoja jest ciągłą dla Katarzyny męczarnią; doprawdy nie pojmuję pańskiego wahania chociaż wierzę w prawdziwość twojego uczucia.

— Tak, wierzę — dodała słabszym po chwili głosem. — Widzę jednak, że miłość twoja jest samolubną, że nie potrafisz pan poświęcić swojego ja, dla ukochanej istoty, że przestrasza cię wielkość wymaganej od ciebie ofiary... a kto kocha rzeczywiście z radością oddałby nawet życie...

Genowefa mówiła z takiem uniesieniem i twarz jej promieniała takiem nadziemskiem szczęściem i cierpieniem że kto inny niż Lucyan byłby do żywego wzruszony. Ale Lucyan zbyt był sobą zajęty aby miał odczuwać cierpienia innych.

Czy on mógł myśléć o czem innem jak o własnych troskach? Cóż go mogło obchodzić, że druzgocze cudze serce jeżeli jego krwawiło się niezgojoną raną?

Zresztą cóżby mógł powiedzieć Genowefie, która oddawna wiedziała o jego tajemnicy? Pomimo uwielbienia jakie w nim budził charakter młodej dziewczyny, nie czuł dla niej żadnego żywszego uczucia.

Natomiast wyobraźnia przedstawiała mu Katarzynę w obecności rozgniewanego i zazdrosnego męża, który stawszy się panem jej tajemnicy, dyktował jej zapewnie rozkazującym tonem warunki zgody małżeńskiej, mszcząc się nad biedną kobietą za winy swego rywala.

Pan Levallier wymagał bezwątpienia od żony, aby nie widywała odtąd Lucyana; co za męczarnia! On z ochotą oddałby życie za jedno jej spojrzenie a teraz nie mógł podążyć jej z pomocą, nie mógł zapewnić, że żadna siła ludzka nie zmusi go do wyrzeczenia się raz powziętego względem niej uczucia i że przeszkody zamiast przytłumić, podniecają jeszcze jego miłość.

— Niech się dzieje co chce — powiedział sobie w duszy — ja nie myślę ustąpić. Pan Levallier żąda wojny, będzie ją miał bezwątpienia.

W tej chwili pani Maleyra wyszła ze swego ukrycia i skierowała się wprost do Genowefy.

Rozmowa dwojga młodych objaśniła ją pod wieloma względami.

— Myślałam że zastanę tu Katarzynę — rzekła jak najspokojniej w świecie, widać, że to niewinne kłamstwo nie zaciężyło jej bynajmniej na sumieniu.

— Katarzyna jest trochę cierpiąca — odpowiedziała panna Levallier.

— Doprawdy? Ależ mam nadzieję, że to nic groźnego?

— Nie, pani, jakiś atak nerwowy, nic więcej. Bratowa jest u siebie i ucieszy się pewnie zobaczywszy panią.

— Jestem sama niezbyt zdrowa i nie chce mi się iść do niej.

— Sądziłam że...

— Przecież mąż musi być przy niej, to opieka zupełnie wystarczająca, mówmy więc o czem innem, chyba że wam przeszkadzam; w takim razie idę do Katarzyny.

— Co za myśl, droga pani...

— Jeśli się mylę, to zrób mi tę grzeczność kochanko i idź się dowiedz jak się miewa Kasia.

— Z najmilszą chęcią.

— Dziękuję ci, lecz wracaj prędko, nie chcę dłużej nad pięć minut nudzić naszego wielkiego poetę — dodała żartobliwie.

— Idź, idź duszko — rzekła jeszcze całując Genowefę w czoło, a skoro ta ostatnia znikła za portierą, oblicze pani Maleyra wesołe i pogodne dotąd zasępiło się nagle.

Zwróciła się do Lucyana i rzekła z powagą:

— Lucyanie, czy jesteś człowiekiem uczciwym i honorowym, to jest takim za jakiego zawsze uważałam cię dotąd?

Lucyan dumnie podniósł głowę.

— Któż się ośmielił powątpiewać o tem? — zapytał.

— Uspokój się, nikt nie posądza cię o nieszlachetność, tem lepiej dla ciebie, masz jeszcze drogę ocalenia a tą jest małżeństwo z Genowefą.

— Z Genowefą! — zawołał zdumiony i przerażony zarazem. — Na Boga! co pani mówisz?

— Jest to jedyna kobieta którą powinieneś przedstawić Katarzynie jako swoją żonę.

— Nigdy! Nigdy nie uczynię tego!

— Odjeżdżaj więc natychmiast.

— Nie mogę się oddalić! Nie mam do tego ani chęci ani woli.

Pani Maleyra utkwiła w nim wzrok smutny i poważny zarazem:

— Powiedz mi na co ty czekasz? Czego się spodziewasz? — spytała.

— Niczego, łaskawa pani...

— Przebacz, ale muszę ci powiedziéć, że kłamiesz!

— Pani... — zaczął z uniesieniem Lucyan.

— Zwolna, zwolna, nie unoś się Lucyanie — przerwała mu pani Maleyra. — Skoro się zastanowisz, przyznasz, że mam słuszność i że inaczej nie mogłam określić twego postępowania.

— Postępowanie moje jest zawsze pełne szacunku.

— Mój drogi, łudzisz się, lecz ja nie jestem ani tak naiwną jak Genowefa, ani tak zaślepioną jak ty lub Katarzyna i widzę rzeczy w prawdziwem świetle. Stoisz nad brzegiem przepaści, która cię nęci ku sobie a nie masz siły się oddalić, nie mów że się niczego nie spodziewasz, bo ja w to wcale nie wierzę, widzę tylko, że szał cię ogarnia, że gwałtowna namiętność zwycięża rozum i wolę. Teraz już nie walczysz, teraz wyzywasz niebezpieczeństwo, ale wiedz o tem, że ja wszelkiemi siłami postaram się je odwrócić, nie tyle przez wzgląd na ciebie, który lekkomyślnie targasz łączące nas przyjazne węzły, jak raczej ze względu na moją córkę. Przykro mi, że muszę to mówić tobie, którego umierająca matka powierzyła mojej opiece. Kochałam cię i pielęgnowałam jak syna i na taką z twojej strony zasłużyłam wdzięczność?... Powtarzam ci raz jeszcze, że do ostatka bronić będę honoru i spokoju mej córki; bronić ją będę jako matka i przyjaciołka przed którą otworzyła swoje serce... Czy wiesz po co Kasia jeździła do Nicei? Po radę, po wsparcie i opiekę do mnie, ja też mam nadzieję w Bogu, że miłość moja doda mi siły do zwalczenia twego szaleństwa!

— Zlituj się pani nademną! Doprawdy nie zasłużyłem na podobne zarzuty. Czy Katarzyna ma zasadę lękać się mnie? Czy jej kiedykolwiek ubliżyłem, czy przekroczyłem przynależne jej granice szacunku? Cóż mogą obchodzić drugich moje osobiste cierpienia? Ja nie pragnę innego szczęścia nad spojrzenie lub uśmiech Katarzyny, nad możność upajania się dźwiękiem jej głosu i prawa uwielbienia jej w milczeniu!...

— I zakłócania spokoju jej życia — dokończyła pani Maleyra. — Katarzyna nie jest pospolitego charakteru kobietą, kto wie czy nie wolałaby umrzéć niż żyć z wyrzutami sumienia, które bezustanku przypominałoby jej winę?...

Lucyan pochylił głowę na piersi; tysiące sprzecznych myśli z błyskawiczną szybkością krzyżowały się w jego głowie. I mąż i matka powtarzali mu to samo a przecież nie porozumieli się chyba... Czyżby w istocie miłość jego była tak groźną dla Katarzyny?

— Snać ukochana moja podobną jest do kwiatka wyhodowanego w cieplarni, którego zabija lada ostrzejszy powiew wiatru — rzekł sobie w duszy z goryczą.

— Mój synu, posłuchaj dobrej rady i zaufaj doświadczeniu twej przybranej matki—zaczęła po chwili milczenia pani Maleyra. — Namiętność cię zaślepia, szatan wiedzie do zguby, a ty niebacznie odtrącasz rękę anioła, który mógłby cię ocalić.

— Ależ żeniąc się z Genowefą oszukałbym ją niegodnie...

— Bynajmniej; ona wie dobrze co się dzieje w twem sercu. Wzniosły i szlachetny jej charakter dopomoże jej do spełnienia trudnego obowiązku. Poświęcenie ma także swój urok dla dusz wybranych i niepospolitych a taką jest bezwątpienia dusza Genowefy. Jestem pewna, że nie usłyszysz nigdy z ust jej skargi ani narzekania.

— Tak młoda i piękna miałażby wyrzec się marzenia o szczęściu?

— Zadowolni się tem co jej się dostanie w udziale. Ona cię kocha nie tą samolubną miłością, która w ukochanej istocie tylko siebie uwielbia, ale czystem, świetlanem uczuciem swej anielskiej duszy. Jedynem jej pragnieniem będzie chęć pocieszenia się, jedyną nadzieją ocalenie Katarzyny i przywrócenie spokoju Maksymowi. Ożeń się z Genowefą i wyjedź na czas jakiś z Francyi. Podróże nowego nabiorą dla ciebie powabu, gdy będziesz miał przy sobie taką uroczą towarzyszkę. Ona pokrzepi cię upadającego i podzieli z tobą każdą troskę... W imię mojego przywiązania, na pamięć twej zmarłej matki, zaklinam cię, przychyl się do mej prośby... Błagam cię, miej litość nad Katarzyną, pamiętaj o honorze!

— Jakto? więc pani dla własnych, samolubnych widoków chcesz poświęcić pannę Levallier! — zawołał Lucyan.

— Chcę ją poświęcić wydając za ciebie? Nie bądź-że zbyt skromnym, mój drogi; zdaje mi się, że zostać twoją żoną to nie zbyt sroga kara dla młodej dziewczyny.

— Pani nie masz litości! Ja jej nie kocham i nie mogę ją łudzić pozorami uczucia, które nie istnieje, dusza moja wzdryga się na podobne kłamstwo.

— Najpierw czuć będziesz dla niej wdzięczność a powoli to i miłość się znajdzie.

— O! nie jestem ja tak zmiennego usposobienia; wrażenia nie zacierają się tak łatwo w moim umyśle, jakąż więc przyszłość zgotowałabyś pani takiej młodej i niedoświadczonej istocie?

Po ustach pani Maleyra przebiegł nieznaczny uśmiech, dowodzący, że nie zbyt ufa w stałość uczuć męzkich.

— Mój Lucyanie — rzekła — ja w tej chwili myślę tylko o Katarzynie; wszak matce wolno tak jak i kochankowi być niekiedy egoistką? Genowefa z rozkoszą podejmie się wyznaczonej sobie roli, podobne cierpienie będzie dla niej źródłem nieograniczonego szczęścia... Zresztą nie taję przed tobą, mój drogi, że położenie jest nader groźne; zięć mój kocha żonę szalenie, Katarzyna w obec Boga i ludzi zaprzysięgła mu wiarę i nic ją z tej przysięgi nie zwalnia. Ty zdajesz się zapominać o tem wszystkiem, pamiętaj jednak, że są chwile gdy najlepszy mąż może się stać surowym i nieubłaganym sędzią!

Lucyan zadrżał.

— Nieubłaganym! —powtórzył stłumionym głosem.

— Surowości takiej nie możnaby nawet poczytywać za występek, skoro najszlachetniejszy człowiek zaślepiony namiętnością może popełnić podłość...

Słuchając tych słów wygłaszanych poważnym i uroczystym głosem, Borrèze coraz więcej chylił czoło a przed oczami jego wyobraźni zjawiła się postać pana Levallier z błyskawicami gniewu w oczach i groźną zmarszczką na czole.

W istocie człowiek ten mógł się stać strasznym w chwili uniesienia lub zazdrosnego szału.

Myśl, że podobne niebezpieczeństwo może kiedykolwiek grozić Katarzynie, ukłuła go jak rozpalonem żelazem. W tej chwili przestał się wahać i rzekł zwolna:

— Jestem gotów zastosować się do rozkazów pani.

I jakby szukając jeszcze środka ratunku dodał:

— A jeśli Genowefa nie przyjmie mego oświadczenia?

— Nie licz na to, mój drogi — odparła z głębokiem przekonaniem pani Maleyra. — Przekonasz się, że sama dobrowolnie zgodzi się zostać twoją żoną. A teraz chodź do swojej narzeczonej — dodała i pociągnęła Lucyana ku drzwiom.

W tejże chwili na progu ukazał się Maksym.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ZŁOTA MSZA

Papieża Leona XIII.

Niezwykła ta uroczystość kościelna, już lat 17 przez pobożnych w Rzymie niewidziana, była najważniejszą chwilą jubileuszu dzisiejszego papieża. Zjechało się na nią mnóstwo deputacyj ze wszystkich krajów, cały zastęp pielgrzymów wszelkiej narodowości, i oprócz nadzwyczajnych przedstawicieli wielu mocarstw, poczet biskupów całego chrześciaństwa. Wszystkie też główne dzienniki europejskie poprzysyłały umyślnych swoich korespondentów, nawet czasopisma ruskie ich mają. Rozdawanie biletów na złotą mszę do bazyliki Św. Piotra, marszałek papiezkiego dworu monsignor Macchi zostawił był na trzy ostatnie dni roku, bo zaczęto bilety fałszować w Rzymie, i trzeba było robić nowe w Bolonii, więc okres ten okazał się za krótkim, i wiele ztąd wynikło niedogodności, zapamiętałe szturmowanie tysięcy a tysięcy osób do drzwi marszałka, nieład, rozgardyasz i anarchia. Jednak pięćdziesiąt tysięcy biletów z górą rozdano; a jeżeli w dzień uroczystości, to jest na Nowy Rok, obeszło się bez scen gwałtownych, bez zdobywania szturmem kościoła przez publiczność, i bez kalectwa lub śmierci wielu osób, zawdzięcza się to jedynie energii i trafnym rozporządzeniom p. Crispi'ego, jako ministra spraw wewnętrznych, tudzież czujności i zręczności policyi włoskiej.

Mimo tego kobiety a nawet mężczyźni, księża świeccy, mdleli w tej ciżbie, i wynoszono ich potem przez środek kościoła.

Biletowi i niebiletowi goście poczęli o drugiej z rana napływać na plac, by uprzedzić innych przy otwarciu kościoła i najlepsze zająć miejsca. Wewnątrz widok był uderzający. Niezmierne wnętrze kościoła Św. Piotra mogącego z zupełną swobodą pomieścić w sobie 50,000 pobożnych napełniło się dobrze przed wschodem słońca. Porządek utrzymywali w niem żandarmi papiezcy, straż pałacowa i straż szwajcarska z halabardami, ostatnie zabytki papiezkiego wojska. Po za ich wyciągnionemi szeregami, majaczył w zamroczu tłum ze wszystkich narodów złożony, i w którym wszystkie słychać było języki. Całe wnętrze kościele przystrojone było wedle architektonicznych kształtów w czerwony adamaszek obłożony galonami. Na dwóch przednich słupach bronzowego baldachimu Bernini'ego, nad wielkim ołtarzem i kryptą, wisiały dwie wielkie tarcze ze świeżych kwiatów, na których kwiatami ułożone były dwie daty: *1 stycznia 1838 r. i 1 stycznia 1888 r.*

Po obu stronach prezbiteryum, ustawiono sześć rzędów ław gobelinami pokrytych dla kardynałów i niezliczonych biskupów. Za temi ławami, wzniesione były trybuny panujących i patrycyatu rzymskiego. W pierwszej znajdowała się księżna toskańska, wdowa po Leopoldzie II i wielki mistrz maltański, w czarnym mundurze z dwurogim krzyżem na piersiach. Pod trybuną zaś stali komandorowie zakonu w czerwonych mundurach, z wielkim prostym białym krzyżem, całe piersi im zakrywającym, i z czarnym płaszczem na ramionach. Na lewo, wznosiły się trybuny przeznaczone jedna dla nadzwyczajnych posłów obcych monarchów, druga zaś dla zwyczajnych ambassadorów i ministrów przy Stolicy Św. uwierzytelnionych.

Papież, który mało chodzić może dla anemii, jaka go trapi, wyruszył w lektyce ze swoich pokojów o trzy kwadranse na dziewiątą, i zniesiony został przez różne wschody i korytarze do kaplicy Przenajśw. Sakramentu u Św. Piotra. Tam pomodliwszy się, przesiadł się do drugiej lektyki, owej cudnie artystycznej, którą mu Neapol ofiarował i która wyobraża łódź Św. Piotra. W drugiej kaplicy ustawione były na ołtarzu drogocenny krucyfiks, darowany przez cesarza Franciszka Józefa, infuła cesarza Wilhelma i tyara przez miasto Paryż przysłana. Ojciec Święty ubierał się przed tym ołtarzem, i przywdział kosztowny ornat, dar arystokracyi rzymskiej. Tak ubranego podźwigniono do góry, i nie widziana u Św. Piotra od 1870 r. processya się zaczęła.

Niezliczeni pielgrzymi, którzy jej nigdy nie oglądali, wyłazili na podnóża filarów i na olbrzymie aniołki kropielnicy, aby jej się przypatrzyć. Przodem ciągnęli „bussolanti" i tajni kapelani papiezcy w czerwonych kapach z gronostajowemi kapturami, dalej podkomorzowie świeccy honorowi i tajni parami w malowniczym swym stroju hiszpańskim. Potem niesiony był krzyż papiezki między buławnikami (mazzieri) w stroju z czasów Medyceuszów, trzymających srebrną buławę na ramieniu, i tu dopiero rozpoczynał się szereg kardynałów, idących także parami w powłoczystej purpurze, za nimi zaś kroczyli obaj dziedziczni assystenci tronu papiezkiego, książęta Colonna i Orsini, którzy rzadko bardzo razem występują z powodu kwestyi pierwszeństwa, bo jeden wywodzi się w prostej linii, i jak utrzymuje: autentycznie, od cesarza Juliusza Odstępcy, a drugi jeszcze sięga wyżej, bo aż do mitologicznej niedźwiedzicy. Mieli na sobie średniowieczne czarne aksamitne togi, jak przed lat tysiącem, a mistrz ceremonii z prefektem swym monsignorem Sinistri'm na czele, poprzedzali Papieża, otoczonego dworem swoim, strażą szlachecką w hełmach złocistych, i dowódcami straży szwajcarskiej w pancerzach demaszkowanych, trzymających na ramieniu wężykowate miecze, wyższe od nich samych. Leon XIII niesiony był na tronie przenośnym z aksamitu czerwonego, między nowemi prześlicznemi ogonkami z piór strusich przysłanemi na jubileusz z głębi Afryki. Miał na sobie ornat wyszyty przez patrycyuszki rzymskie, infułę darowaną przez cesarza niemieckiego haftowaną drogiemi kamieniami osobliwej wielkości, i na palcu pierścień od królowej hiszpańskiej. Lice jego niezmiernie wychudłe i blade wydawało nadzwyczajne znużenie i wzruszenie. Skoro Ojciec Święty błogosławiący rzesze ukazał się w powietrzu, tłumy, które nigdy nie oglądały tej niewymownego majestatu apoteozy, uderzyły pomimo świętości miejsca w zapamiętałe okrzyki i oklaski. Wołano we wszystkich językach: „Niech żyje Ojciec Święty!" a nawet: „Niech żyje Papież-król!" co nadało tej manifestacyi polityczne znaczenie, nie licujące z przybytkiem, gdzie się odbywała. Papież był widocznie niekontent z tych hałaśliwych objawów przed grobem apostołów, i kilkakrotnie dawał znak ręką, aby się uciszono, co też za nim czynili postępujący przed tronem mistrze ceremonii; ale wszystko to było próżnem. Gwar przeraźliwy trwał przez dwadzieścia minut, dopóki karmazynowi słudzy nie spuścili krzesła przed wielkim ołtarzem.

Wówczas zaczęła się cicha msza, do której służyli Ojcu Świętemu ksiądz Lenti patryarcha konstantynopolski obrządku łacińskiego, i ksiądz Sanminiatelli audytor kamery apostolskiej, oraz mnóstwo innych prałatów, kanoników i seminarzystów

od Św. Piotra. Kapela papiezka cudnie podczas nabożeństwa śpiewała. Osobliwie chwila podniesienia była niewypowiedzianie uroczystą, bo kiedy Papież, jak to jest zwyczajem Najwyższych Pasterzy, obracał się z podniesioną hostyą i kielichem, błogosławiąc lud, trąby zabrzmiały w niebotycznej kopule Michała Anioła, trąbom tym odpowiedział chór dziecięcych głosów na wysokościach, gdyby chór anielski, uderzono we wszystkie dzwony trzystu siedmdziesięciu kościołów wiecznego miasta; bicie to trwało przez całą godzinę, a kościołom Rzymu odpowiedziały dzwony kościołów Europy, Azyi, Afryki, Ameryki i Oceanii, którym astronomiczna rachuba względem jednoczesności tego dzwonienia rozesłana ztąd była od sześciu miesięcy. Wśród tego śpiżowego koncertu Papież po mszy zanucił *Te Deum*, powtórzone chórem, wiersz po wierszu, przez jakie pięćdziesiąt tysięcy osób, napełniających największy w świecie kościół.

Potem Ojcu Świętemu włożono na ramiona złocistą kapę papiezką, włożono na skronie olśniewającą troistą koronę wysadzoną więcej niż tysiącem brylantów, rubinów, szafirów, pereł, i podniesiono go znowu do góry, rozpinając nad nim tym razem złotem przetykany baldachim. Przed kryptą wznosiło się rusztowanie osłonione gobelinami, na którem go postawiono, i ztamtąd to powstawszy i wznosząc ręce do nieba, wśród tych tysięcy, które jak jeden człowiek uklękły, od przedstawicieli mocarstw do najpokorniejszych pielgrzymów, udzielił apostolskie błogosławieństwo miastu i światu, *urbi et orbi*. Była to chwila wspaniała i pamiętna, od lat ośmnastu wielkiego tego widowiska nie oglądano, gdyż Pius IX w r. 1870 po raz ostatni świat błogosławił.

Gdy Papież, wciąż żegnając obecnych, oddalał się po nabożeństwie, te same okrzyki i oklaski rozległy się na nowo, i grzmiały zapamiętale, dopóki nie znikł obecnym z oczu, a ogromny plac natłoczony ludem, co wstępnych biletów nie miał i z trudnością wstrzymywany był przez wojsko, burzył się jeszcze długo jak falujące morze.

WIADOMOŚCI

z pod naszej strzechy i z obczyzny.

Karnawał tegoroczny niby porusza się tanecznym ożywiony uciechą, ale nie ma w nim życia co zdobi każde lica uśmiechem zadowolenia, i nawet wsie i miasta stroi pozorem niezwykle rozbudzonej wesołości. Posuwa się niby raźnie, bo różnych balów filantropijno-spekulacyjnych nie brakuje, ale więcej tu znać urzędową powagę, niż istotną chęć zabawy.

Jak się bawiono na pierwszym dworskim balu w Wiedniu, nie wiemy, gazety i słówka o tem nie wspomniały. Za to rozpisały się obszernie o strojach dam zgromadzonych, z czego niektóre szczegóły poniżej pomieszczamy.

Otóż najpiękniejsza z babek, cesarzowa Elżbieta, jak ją po przyjściu na świat pierwszego wnuka nazwano, wystąpiła w sukni z białej materyi jedwabnej *monopol*, której przód bogato haftowany złotem, przybrany był haftowanemi złotem falbanami tiulowemi, a z boku podpięty bratkami ze złotego filigranu i piórami; tren zaś bramowany był szeroko niebieskiemi lisami. W ogóle suknie balowe, bramowane futrem, są obecnie bardzo modne w Wiedniu. Wspaniałe brylanty na staniku, szyi i we włosach, dopełniały tualety władzczyni Austryi. Bardziej ujmującą niż wyniosłą urodę następczyni tronu, arcyksiężny Stefanii, podniosła świetnie tualeta z błękitnego adamaszku, haftowana w złote i srebrne konwalie; przód sukni przysłonięty był błękitnym tiulem, srebrem haftowanym, a stanik wycięty okrągło, zdobiły draperye tiulowe i pióra; z pod tuniki tiulowej, podpiętej z boku niebieskiemi i różowemi piórami, wysuwała się spódnica, wycięta w okrągłe zęby, objęte srebrną frędzlą; przód stanika zasiany był brylantami. Arcyksiężniczka Marya Walerya przywdziała suknię białą atłasową, przysłoniętą tiulem, haftowanym srebrem, przy staniku zaś miała szeroki pasek srebrny *empire*; haft srebrny na tunice miał kształt promieni słonecznych, w skutku czego tualeta arcyksiężniczki była w całem tego słowa znaczeniu olśniewającą. Z innych tualet odznaczały się gustem i bogactwem: tualeta arcyksiężny Maryi Teresy: przód z atłasu koloru *vieux rose* z koronkami srebrnemi, boki z prawdziwej złotej brokateli, podbite atłasem koloru *vieux rose*, tren z atłasu *duchesse* koloru *absynthe*, przetykany girlandami złotych róż. Księżna Ludwika Koburska: tualeta z brokateli koloru nilowego (zielonawy), przetykanej srebrem, ubrana jedwabną krepą w guście *empire*; tren objęty zielonemi piórami strusiemi. Hrabina Toda, małżonka posła japońskiego: tualeta żółta materyalna, haftowana srebrem; przód ze wschodniej perłami haftowanej tkaniny; żółte pióra i kwiaty filigranowe. Pani v. Kallay: tualeta z *velours de Gêne* barwy koralowej, haftowana rubinami i perłami. Hrabina Königsegg: tren z szarego aksamitu barwy ciemnych chmur; przód z popielatego, srebrzystego atłasu, haftowany perłami i przybrany aksamitem. Baronowa Rotschild: tualeta z białej, haftowanej w gałęzie róż mory; tren bramowany niebieskiemi lisami; przód przysłonięty tiulem, haftowanym perłami i jedwabiem; z prawego boku garnirowanie z różowej mory i takichże piór; z lewego galony tiulowe, srebrem haftowane. Młode księżniczki, baronówny i hrabianki zaś tonęły w różnokolorowych obłokach tiulu, iluzyi i krepy, przetykanych srebrem, złotem czy haftowanych jedwabiem lub kryształowemi paciorkami, a przybranych wstążkami morowemi.

Dnia 20 b. m. minęło lat 62 od śmierci księdza Stanisława Staszica, ministra stanu, dyrektora przemysłu narodowego, prezesa Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Notując ten bolesny wypadek, *Gazeta Warszawska* z dnia 24-go stycznia 1826 roku, mówiąc o testamencie tego znakomitego męża stanu, pisała co następuje: „Otworzono testament ś. p. księdza Staszica; tchnie on tą samą szlachetnością umysłu, miłością bliźniego i rozwagą, jakie testatora za życia cechowały. Cały majątek, pozostały od licznych ofiar dla dobra pospolitego łożonych, wynosi około 800,000 złotych polskich, przeznaczył go ś. p. Staszic prawie całkowicie dla instytutów publicznych, małą część dla domowników i służących zachowując. Będziemy mu winni założenie Domu Zarobkowego dla Ubogich, kapitałem 200,000 złot. polskich; podobną sumę otrzymał i szpital Dzieciątka Jezus; zresztą pomnik Kopernika, Instytut Głuchoniemych, szpital Marcinkanek, Szkoła Hrubieszowska itp. instytucye były przedmiotem jego szczodrobliwości."

Dnia 24-go stycznia 1826 r. odbył się pogrzeb, a jak zeznawał nasz kronikarz: „Warszawa nie pamiętała żałobnego obrzędu, w którymby jawniej, wymowniej i powszechniej objawiła się boleść publiczna po zgonie znakomitego męża." Z gmachu Towarzystwa Przyjaciół Nauk wynieśli śmiertelne szczątki członkowie Towarzystwa; od placu Saskiego trumnę niosła młodzież akademicka aż do kolumny Zygmunta. Kondukt żałobny prowadził ksiądz Prażmowski, senator Królestwa, biskup dyecezyi płockiej. U drzwi klasztoru na Bielanach przyjęte zostało ciało Staszica przez zakon Kamedułów, którzy wśród żałobnych śpiewów wprowadzili je do kościoła. Zwłoki Staszica, zgodnie z jego wolą, pochowane zostały na Bielanach obok kościoła.

Niebywałe już dawno tegoroczne mrozy oraz dwa wypadki zmarznięcia na śmierć na ulicach Warszawy w wielu sercach i umysłach bolesne wywarły wrażenie.

Pod jego to wpływem w jednym z domów przy ul. Żabiej, sześć pań młodych gospodyń sąsiadek, do owej chwili sobie nieznajomych, na doraźnie zwołanej sesyi uchwaliło wspólnemi środkami i wspólną pracą, otworzyć dla biednych izbę do ogrzania i rozdawać tu gorącą herbatę.

Od dwóch tygodni codzień inna z pań jest już na stanowisku i rozdaje wszystkim zgłaszającym się—ogółem po paręset kubków herbaty z bułkami dziennie. Sybarytom i rozkapryszonym dostatkami wygodnisiom, radzimy zajść popatrzéć jak ci biedacy się delektują.

Katastrofa na morzu. Od p. Aleksandra Zientarskiego, artysty-malarza, podróżującego dla studyów artystycznych, otrzymaliśmy list, datowany z Mangub Kale, następującej treści: „Wpodróży do Indyj wschodnich pragnąłem zwiedzić Odesę, Krym, Konstantynopol i Egipt. Przez dni kilka znajdowałem się na parostatku „Moszhen." Pogoda była urocza, godna okolic podzwrotnikowych. Wiatr ustał zupełnie, a powierzchnia morza wygładzona jak zwierciadło, odbiła wspaniałe konstelacje południowego nieba. W nocy d. 8-go stycznia statek, na którym płynąłem, znalazł się w pobliżu portu odeskiego. Zdala migotały światła sygnałowe parostatków i żaglowców, a od strony lądu dochodziły nas śpiewy krajowców, przerywane tylko od czasu do czasu szumem konającej u brzegu fali. Była to ostatnia noc na morzu. Po upływie kilku godzin, w którym to czasie parostatek oddalił się od portu o kilkadziesiąt mil morskich, owa śliczna pogoda i gładka powierzchnia morska zamieniła się w kipiący, ryczący, dziki chaos napiętrzonych bałwanów a huk straszliwy grzmotów i piorunów, spadających z ogłuszającym łoskotem, a przytem błyskawice, przesuwające się na podobieństwo ognistych węży po całym widnokręgu, sprawiły wielkie zamieszanie i przestrach na pokładzie parostatku, na którym płynęło przeszło stu podróżnych. Zamknięci w kajutach podróżni usłyszeli wystrzały z armat, sygnalizujące niebezpieczeństwo zatonięcia statku, który, rzucony falą o skałę, przedziurawił się do wnętrza. Wszystko, co żyło, rzuciło się do pomp. Daremnie siliłbym się na przedstawienie obrazu walki. Pamiętam tylko, iż wiele osób, w przystępie szału czy rozpaczy, rzucało się w nurty morza. Siedm osób tylko (pomiędzy któremi dwie kobiety i kapitan statku) zdołało na łodzi ratunkowej uniknąć katastrofy i dopłynąć do lądu stałego w pobliżu wioski tureckiej Kara-Kadikoj, oddalonej o kilkadziesiąt wiorst od Odesy. W tym samym dniu grecki statek żaglowy, płynąc do Batumu, nie zdążył przybyć do portu przed burzą,

a rzucony falą o skały, roztrzaskał się na drobne kawałki. Walka z szalonym żywiołem trwała niedługo. Zaledwie kilka osób ocaliło się za pomocą łodzi, reszta zaś, w liczbie 12-tu, utonęła. Na drugi dzień po burzy na pograniczu tureckich posiadłości morze wyrzuciło 42 trupów, widocznie majtków z nieznanego parostatku."

Powódź w Chinach. O strasznej klęsce elementarnej, jaka w roku zeszłym jeszcze dotknęła państwo niebieskie teraz dopiero nadchodzą bliższe szczegóły. Przerwanie grobli Hoang-Ho, rzeki Żółtej, miało miejsce d. 20-go września r. z. Skoro tylko hiobowa wieść doszła do Pekinu, cesarz wysłał wysokiego dygnitarza do dotkniętych powodzią okolic, aby się przekonać o położeniu mieszkańców. Sprawozdanie urzędnika tego stwierdza, iż dziesiąta część prowincyi Honan, zwanej „ogrodem Chin," na przestrzeni 700 klmtr. długości i 650 klmtr. szerokości, zamieniona jest w olbrzymie jezioro. Szczyty wież pagodowych i wierzchołki drzew wystają tu i owdzie ponad powierzchnią wody i są jedynemi oznakami, że na tem miejscu była niegdyś zamieszkała okolica, że wznosiły się tam niegdyś licznie zaludnione miasta. Na sąsiednich polach i w poblizkich lasach tułają się powodzianie bez wszelkiej odzieży, drżąc z zimna i konając z głodu; a niedawno wszyscy oni posiadali olbrzymie bogactwa. Powódź rozpoczęła się w pobliżu Kai-Fung-Fu, jednego z największych miast prowincyi i w kilka godzin mocne, z kamieni zbudowane wybrzeża rzeki zostały pozrywane. W okręgach Ching-Chow i Chén-Chow przeszło 3000 miejscowości uległo w przeciągu kilku godzin zupełnemu zniszczeniu, a ponieważ katastrofa nastąpiła w nocy niewielu ludzi zdołało ujść z życiem. Jako miara nieszczęścia niechaj posłuży fakt, iż terytoryum większe, niż hrabstwo Walii w Anglii znikło zupełnie i zastąpione jest przez olbrzymie jezioro. Liczbę ofiar, które postradały życie w falach oceniają na przeszło 100,000, a więcej niż kilka milionów ludzi pozostało bez dachu. Cesarz posłał nieszczęśliwym 100,000 taelsów, — mniej więcej 900,000 fr., — a skarb cesarski przesłał dwa razy tyle. Wody Hoang-Ho nie wpadają już po powodzi do morza, lecz tworzą olbrzymie jezioro. Jedna ze starych kronik chińskich opiewa, iż kiedyś przed laty było już na tem samem miejscu jezioro, którego wody wszakże udało się następnie odprowadzić zapomocą kanałów. Koszta odbudowania grobli i wałów obliczono na dziesięć milionów franków, ale niewiadomo jeszcze czy uda się skierować rzekę Żółtą napowrót do starego łożyska.

Liczba niewidomych na kuli ziemskiej wynosi okrągły 1,000,000 według *Deutsche Med. Ztng*; z cyfry tej najwięcej przypada na Kair, gdzie na 20-tu mieszkańców znajduje się jeden niewidomy.

Głupiec nie może wiedzieć, że jest głupim, bo aby wiedzieć, że się nim jest, trzeba... nim nie być.

* * *

Z berlińskiej knajpy. W jednym z przybytków Gambrynusa siedzieli przed kilkoma dniami czterej apostołowie zachwytu piwnego i raczyli się na wzór starych germanów, aż... wszyscy posnęli. Gorliwe usiłowania, iżby spóźnionych gości obudzić, spełzły na niczem. Spali snem kamiennym. Wszakże doświadczony, a z osobistościami śpiących druhów obeznany garson wiedział, jak sobie poradzić. wyszedł na ulicę, zawołał dorożkarza i przy jego pomocy wsadził cztery trupy piwne do powozu.

— Dokąd — zapytał dorożkarz.

— Zaraz wyjaśnię — odpowiedział garson i doręczył woźnicy następujący list frachtowy:

1 siedzenie przednie Lehman, odstawić Maurerstr. N...	2 siedzenie przednie Schultze, Kochstr. N...
1 siedzenie tylne Werner, Friedrichstr. N...	2 siedzenie tylne Neumann, Besselstr. N...

Dorożkarz kiwnął głową na znak, że rozumie, kazał sobie zapłacić taksę za wszystkich gości i odjechał. W kilka minut potem knajpa była już w głębokim śnie pogrążona. Zaledwie jednak kwadrans minął, ozwało się alarmujące dzwonienie.

Garson ubrał się na prędce i wybiegł do bramy. Przed bramą stoi dorożkarz, a gdy zobaczył garsona, otworzył drzwiczki powozu i rzecze:

— Bądź pan tak dobry i ułóż napowrót tych pasażerów według porządku napisanego mi, bo jadąc pomieszali się tak, że nie wiem, gdzie którego odstawić!

* * *

Piękna twarz a głowa... niemądra, to jak pyszny kwiat bez woni.

RÓŻNE MYŚLI.

Zbawienie wszystkich jest w zgodzie społecznej.
Mirabeau

NOWE KSIĄŻKI.

Nadesłane do Redakcyi.

Historya Cywilizacyi przez Ch. Seignobos'a z najnowszego wydania przełożył Adolf Dygasiński. Ozdobiona 200 drzeworytami w tekscie. Nakład Teodora Paprockiego i S-ki.

Światła i Cienie. Zbiór nowel i poezyi. Napisali: Bożydar, Dygasiński A., Gawalewicz M., Kaszewski, Konopnicka M., Leliwa J., Łętowski J., Marrené W., Or — Ot, Pług A., Rawita Fr., Sęk A. J., Stebelski Wł., Ursyn, W. Jadwiga, Wężyk Z. St., Zapolska-Śnieżko, Zielińska M. (M...a), Zieliński Wł. K. Wydane nakładem Warszawskiej spółki wydawniczej. Ozdobione drzeworytami.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani M. Wojciechowskiej w Dąbiu. Przyrządy do koronek z poduszkami i klockami, kosztować będą około 10 rs. Komplet potrzebny do uzupełnienia wysłano.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyj nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc śpieszniejszego wykonania objawionego żądania.

PRZYJACIEL DZIECI

numer 4 wyszedł z druku i zawiera:

Wyprawy krzyżowe.—Co sobie Staś myślał (wiersz). W wigilią (obrazek). — Opactwo Westminsterskie w Londynie (z drzeworyt.) — Rybitw (z drzeworytem). — Opowiadanie prawdziwe. — Z prawdziwych wydarzeń. Dodatek: Przyjaciołki. — Nieuważna Władzia (wiersz z drzeworytem). — Dobre serce Józia.—Niedziela w zimie (wiersz).—W osadzie rolniczo-rzemieślniczej w Studzieńcu. — Odpowiedzi. — Zadania i łamigłówki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

Дозволено Цензурою. Варшава, 15 Января 1888 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.